

ARNOLD BENNETT.

WIDMO

7

Ale mniejsza o to! W egoizmie niedoświadczonej miłości wpadłem w zadumę, pełną różowych nadziei o wzajemności...

Nagle coś strasznie zgrzytnęło, rozległ się łoskot żelaza — nastąpił jakiś huk, jakiś wstrząs — nagle zahamowanie... i głowa moja uderzyła o poduszkę przeciwnielego siedzenia. Byłem ogłuszony — nie bardzo, ale trochę.

— Co to? co to? — posłyszałem mój własny głos. — Musieli spać wagony nazbyt gwałtownie!

Tu zupełnie nagle przyszło mi na myśl, że to może być wypadek kolejowy — jeden z tych, o których się tak spokojnie czyta w gazetach. Dziwiłem się, że nie jestem zraniony i dlaczego nie słyszę niczego. Ta bezwzględna cisza była przerażająca. Poszukałem zapalek i zaświeciłem jedną. Zaledwie zdążyłem zauważyć, że obie szyby stłuczone i podłoga przedziału pęknięta, gdy zapalka zgasiła mi na wietrze. Wcale nie słyszałem brzęku tłuczonego szkła...

Podszedłem do drzwiczek i chciałem je otworzyć, jednakże zamek nie chciał puścić. To mnie wytrąciło z równowagi. Zacząłem bić w drzwiczki i kopać je nogami.

— Jestem doktorem i będą mnie potrzebowali do pomocy rannym! — strzeliło mi przez głowę.

Odzyskałem spokój i równowagę ducha.

Teraz słyszałem kroki ludzi, chodzących po planicie i dostrzegałem migotliwy blask latarni. Za chwilę posługacz, którego srebrne guziki zaświeciły w ciemnościach, wyciągnął mnie przez okno...

— Ranny może?

— Nie, mnie się nic nie stało. Ale jeżeli są ranni, to ja jestem lekarzem.

— Tu jest lekarz, panie! — krzyknął posługacz w stronę stojącego siwowłosego urzędnika. Spostrzegłem bardzo niedaleko światła stacyi.

— Czy to Dover? — zapytałem.

— Nie panie, to Dover Priory. Dover jest dalej o dwa kilometry. Stał tu wagon towarowy wykolejony na bocznej linii, tuż za słupem sygnałowym, a maszynista „Expresu“ najechał wprost na niego, tak panie!

Inni pasażerowie wychodzili teraz z wagonów i naraz zrobiło się tłumno i ludno; powstał hałas i bieganina. Lokomotywa leżała wywrócona, zwieszając się nad rozbitym wagonem. Kłęby pary dobywały się z niej teraz, sycząc głośnie, niż poświsty wiatru. Tender wygięty był przez pół. Pierwszy wagon, ten z bagażem stał prostopadle wspięty wysoko, mało co uszkodzony. Następny, mały starożytny, z którego ja szczęśliwie w Sittingbourne wysiadłem, rozbity był i zgnieciony tak, że stracił wszelki kształt. Trzeci, z którego wydostałem się przed chwilą, wyglądał jako tako, a trzy pozostałe nawet z relsów nie zjechały.

Wszyscy biegli do rozbitego wagonu.

— Dwóch pasażerów było w tym wagonie — objaśniał konduktor, któremu nic się nie stało, znajdował się bowiem na końcu pociągu.

— Czy i mnie pan w to liczy? — zapytałem — gdyż co do mnie, to ja się przesiadłem do innego wagonu na stacyi Sittingborne.

— Bogu dzięki, panie! — odpowiedział — w takim razie był tylko jeden pasażer w przedziale pierwszej klasy... wysoki pan o surowej twarzy.

Czy radość czy smutek odczułem na myśl, że ten człowiek leży tu, pogrzebany pod bezkształtnym stosem drzewa i żelaza? Smutek w każdym razie nie był bez przymieszki pewnej radości. Przeciwnie, rozradowaniem napędliała mnie myśl, że prawdopodobnie pozbyłem się na zawsze tego, który mącił mój spokój, tej złowrogiej a tajemniczej istoty, która, jeżeli wierzyć można przecuciom, zagroziła mi zgubą i nieszczęściem.

Ludzie z młotami, siekierami i pilami zabierali się do rozbierania i przeszukiwania zniszczonego wagonu, mnie zaś ktoś pociągnął za rękaw, wzywając, bym szedł ratować palacza i maszynistę. W poczekalni okazało się, że już dwaj miejscowi lekarze przybyli tymczasem i zajęli się rannym maszynistą, którego, nieprzytomnego, ułożono na stole. Palacz, stojąc tuż obok, powtarzał na wpół błędnie:

Willa coś zamroczyło... coś go zamroczyło... Ja na to mówiłem, że sygnał zdjęty... Ja wołałem na niego. Ale jego coś zamroczyło... tak...

Powróciłem do pociągu z okropnym pragnieniem ujrzenia na własne oczy trupa mego wroga. Kawa-

łek po kawałku rozebrano cały wagon, lecz nigdzie nie znaleziono śladu człowieka.

I on także musiał wysiąść w Sittingbourne — zauważyłem.

— Niezawodnie! potwierdził konduktor.

— Więc on uszedł, więc on żyje! — szepnąłem beznadziejnie. Wydało mi się, że jakieś przekleństwo zawisło nademną, że wyrok jakiś straszny zapada. Gdybym miał wytłumaczyć, skąd wzięło się takie uprzedzenie we mnie do człowieka, który jednego słowa do mnie nie przemówił, którego przecież nie znałem, którego trzy razy zaledwie pobieżnie spotkałem, gdybym miał to wytłumaczyć — nie wiedziałbym, co powiedzieć. Powodów żadnych nie miałem. Chyba była to intuicja.

Nagle zebrałem wszystkie moje siły i oberzawszy się dokoła, zawołałem:

— Potrzeba mi dorożki. Muszę zdążyć na parowiec, idący do Calais. Może kto będzie łaskaw wskazać mi drogę!

Nikt się nie odezwał. Tak jakby mnie nikt nie słyszał. Wykolejenie pociągu dziwnie ludzi usposabia. I ja sam w jakimś dziwnym byłem nastroju. Nie przyszło mi nawet na myśl, że w tych warunkach parowiec pewnie zaczeka. I to mi też nie przyszło na myśl, że nie potrzebuję koniecznie zdążyć na ten parowiec, że mogę przenocować i jechać na zajutrz rano. Nie! Jakaś gorączka mnie opanowała i musiałem śpieszyć... śpieszyć...

Tu przypomniła mi się szkatułka Rozy.

— Gdzie moja szkatułka? — rzuciłem się gwałtownie na konduktora, tak, jakby to on ją ukradł.

— A co to pan w rękę niesie? — odpowiedział ubawiony.

Przez cały ten czas nosiłem ze sobą szkatułkę. Widocznie w chwili wypadku musiałem ją odruchowo pochwycić i dotychczas z rąk jej nie wypuściłem. I sam o tem nie wiedziałem! To mnie otrzęźwiło. Niemniej pragnąłem zdążyć na parowiec. Puściłem się więc w drogę, idąc torem kolejowym.

Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, ani jak długo szedłem, ani jak daleko. Przybyłem do portu, zupełnie nie pamiętając przebytej drogi. Nie wiedziałem ani czy mnie jaki urzędnik kolejowy zaczepił, ani czy spotkałem kogo. Na szczęście deszcz przestał padać i wiatr, choć ciągle silny, mieszał się z wolną. Grobla wybrzeża była zupełnie pusta. Światelka miasta błyskały w odległości, ponad niebem wznosiły się groźnie wzgórza fortyfikacji. Przedemną leżało nieujarzmione, niespokojne morze.

Już byłem w połowie grobli, gdy ujrzałem z przeciwnej strony zbliżającą się ku mnie postać niewieścią. Byłem tak zmęczony i oszołomiony wrażeniami tego wieczora, że nie zwracałem na nią uwagi. Nawet wtedy, gdy przystanęła i zajrzała mi w twarz, nie uważałem na nią prawie, lekko tylko odsunąłem ją ręką.

— Pan jesteś Karol Foster — przemówiła niespodzianie kobieta.

Głos był szorstki, drżący, podniecony, a jednak wykwinny w brzmieniu.

— Przypuśćmy, i cóż stąd? — odpowiedziałem sennie, tak byłem zmęczony.

— Radzę panu nie jechać lepiej do Paryża.

Ożywiły mnie jakoś te słowa i zauważyłem, że kobieta ta mówi silnie francuskim akcentem. Starałem się dojrzeć jej twarz, lecz zasłonięta była gęstą woalką i w panujących dokoła ciemnościach mogłem tylko to rozróżnić, że ma wybitne rysy i może mieć lat około czterdziestu. Milcząc spoglądałem na nią.

— Ja radzę panu nie jechać do Paryża — powtórzyła znowu.

— Kto pani jesteś?

— O to mniejsza. Usłuchaj pan mojej rady.

— Dlaczego? Czy mają mnie tam ograbić?

— Ograbić! — wykrzyknęła, jakby ją nowa myśl uderzyła. — Tak! — dodała spiesźnie. — Mogą panu ukraść te klejnoty.

— Zkąd pani wie, że ja mam przy sobie klejnoty?

— Ach!... przecież widzę szkatułkę!

— Niech się pani nie obawia: potrafię się dobrze strzedz przed złodziejami. Ale czy wolno mi zapytać, skąd pani wie, jak ja się nazywam?

Nie odpowiedziała na to wcale.

— Słuchaj pan — zaczęła mówić szybko. — Pan jedzie z zamiarem spotkania w Paryżu pewnej damy... Wszak tak?

— Przyznam się, że to...

— Niech pan przyjmie przestrożę odemnie. Niech się pan dalej w tę sprawę nie wdaje...

— Starałem się wyminąć ją i pójść dalej ale ona przytrzymała mnie za rękaw. Ciągnęła dalej z naciskiem:

— Rozecie Rozie nie wolno śpiewać Carmeny w *Opéra Comique*. Rozumie pan?

— Bóg widzi! — zawołałem — więc ja chyba mam zaszczyt mówić z panną Karlottą Dechamps!

Powiedziałam to żartem, ale uwaga moja podziała natychmiast. Nieznajoma oddaliła się kopredziej, obdarzwszy mnie wyniosłym spojrzeniem i potrzęsając głową przecząco.

Przypomniałem sobie, co mi Marie Deschamps opowiadała o swojej przyrodniej siostrze, przypomniły mi się także podejrzenia własne co do pokojówki Rozy, będącej prawdopodobnie szpiegiem swojej pani — i złożwszy to razem, wykombinowałem, że w istocie ta obca kobieta musi być Karlottą. Yvetta niewątpliwie musiała ją poinformować o naradach moich z Rozą w kościele św. Idziego; prawdopodobnie wiedzona zazdrością do rywalki, przyjechała do Londynu, ażeby mnie odszukać, a odszukawszy, pragnęła mnie powstrzymać od zetknięcia się z Rozą w Paryżu. Tak sobie znalezienie się Karlotty tłómaczyłem. Przyszłość pokazała, że nie bardzo rozminąłem się z prawdą.

Roześmiałem się. Zabawną wydała mi się ta średniowieczna primadonna, snująca się nocą po pustkowiu, ażeby kopać dolki pod swoją rywalką. Obiecywałem sobie, że zaraz jutro rano w Paryżu komiczną tę awanturkę opowiem, dla ubawienia Rozy. Tymczasem nie namysławiając się dłużej, poszedłem na statek, idący do Calais.

Tu wszystko było w wielkim poruszeniu. Czy też słyszałem o katastrofie kolejowej? Owszem byłem przy tem. Natychmiast otoczyła mnie gromadka ciekawych, dręcząc pytaniami. Nie mogłem już wytrzymać, nerwy moje wyczerpane były tak, że w kilku słowach skreśliwszy obraz wypadku, zbiegłem na dół do salonu. Nadewszystko pragnąłem spocząć; pragnąłem gorąco chwili zapomnienia, chwili nieświadomości; ostatnich kilka godzin wyczerpało mnie zupełnie. Wyciągnąłem się w salonie na sofie, szkatułkę wsunąwszy pod głowę, w miejsce poduszki.

— Czy prędko ruszmy? — zapytałem służącego.

— Za pięć minut, panie. Wiatr się uspokaja.

Oprócz mnie byli tam i inni pasażerowie i coraz inni nadchodzili. Ponieważ był to ostatni statek odchodzący dnia tego z Dover, więc wielu było podróżnych, pomimo niepogody. Słyszałem głosy rozmawiających słyszałem plusk fal, rozbijających się o boki okrętu, w końcu odbiegła mnie świadomość... usnąłem.

Rozdział X.

Obudziłem się, drnąwszy na ciele i mrużącemi się oczami spojrzałem na zegar salonu. Spałem zaledwie godzinę, ale czułem się już zupełnie świeżym i wypoczętym. Głowę miałem jasną, rzeźkość czułem we wszystkich członkach. Ciekaw tylko byłem, co mnie tak nagle obudzić mogło.

Wtem okręt zatrzęsł się od podstaw, ja zaś zrozumiałem, że to wstrząśnienie właśnie, które się widocznie teraz ponowiło, musiało mnie wtedy obudzić.

— Wielki Boże! Idziemy na dno! — wołał jakiś człowiek.

Leżał obok mnie, a teraz zerwał się i rozglądał przerażonymi oczami...

— Co znowu? — odpowiedziałem.

Światła elektryczne zagasły, my zaś pozostaliśmy w słabym oświetleniu małej wiszącej olejnej lampki. Natychmiast kilkadziesiąt obecnych tam osób zerwało się na równe nogi i zaczęło się kręcić, chwytając swoje bagaże i drobne pakunki. Straszne drżenie okrętu trwało w dalszym ciągu. Prawie nikt nie odzywał się słowem.

Jakiś mężczyzna leciał, potykając się po schodach, z pokładu w dół i krzyczał głośno:

— Gdzie moja żona? gdzie moja żona?

Nikt na niego nie zważał i on też widocznie nie czekał odpowiedzi. W półmroku tej jedynej lampki widziałem wyraźnie, że oburącz garściami włosy wyrывa sobie z głowy. Tysiące razy w życiu obijał mi się o uszy ten frazes o „rwaniu włosów z głowy“ ale w tej chwili pierwszy raz byłem świadkiem czegoś podobnego. Jakoś to na mnie zrobiło wrażenie. Mężczyzna ten obiegł salon, wciąż krzycząc w niebogłosey i znowu wybiegł na górę i zniknął. Wszyscy poszli w ślad za nim w zamieszaniu, a ja odrazu znalazłem się sam. Przywdziałem paletot, zarzuciłem pelerynę i chwytając w rękę szkatułkę Rozy, poszedłem za innymi.

Wyszedłem na pokład. Bengalski ogień rażącą czerwienią palił się na mostku, a kilku majtków pracowało nad spuszczeniem na morze łodzi ratunkowej. Teraz przekonałem się, że ten, który zawołał: „Idziemy na dno!“ nie bezpodstawnie rzucił puste słowo.